

**GOSZCZYŃSKI
SEWERYN**

KRÓL

ZAMCZYSKA

Goszczyński Seweryn

Król Zamczyska

«Public Domain»

Seweryn G.

Król Zamczyska / G. Seweryn — «Public Domain»,

Główny bohater przyjeżdża w malownicze okolice Krosna, gdzie w pobliżu znajduje się tajemniczy zamek. Jest on owiany legendą, podobnie jak niejaki pan Machnicki, były mieszkaniec zamku, który cały czas z sentymentem go odwiedza. Mężczyzna postanawia poznać niesamowitą historię zamku oraz Machnickiego, który w najbliższej okolicy uchodzi za szaleńca. Powieść Król Zamczyska została napisana w 1842 roku przez Seweryna Goszczyńskiego. Autor przedstawił w utworze nie tylko niesamowitą historię, ale także odniósł się do rzeczywistości politycznej Polski XIX wieku. Na kartach powieści przewijają się mniej lub bardziej ukryte wątki związane z powstaniem listopadowym, sytuacją porzbirową, a także motywy mesjanistyczne. Odrzykoński zamek postrzegany jest jako alegoria Polski, choć już podupadły, wciąż owiany chwałą.

Содержание

I. Machnicki wariat	5
II. Imieniny	8
III. Zamczysko odrzykońskie	14
IV. Podziemie	21
Конец ознакомительного фрагмента.	23

Seweryn Goszczyński

Król zamczyska

I. Machnicki wariat

Poezja jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbronna¹, jak zbawienie, jak uczciwa sława. Nawet nasz wiek, tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezję. Nie jest ona wprawdzie ani rajska², ani homeryczną, ani romantyczną, ale jest tak dobrą, jak wszystkie starsze jej siostry, jest poezją swojego czasu. Nie trzeba jej daleko szukać, nie trzeba jej uganiać poza obrębem dzisiejszej ludzkości, nie trzeba jej sobie wymyślać; jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych.

O! ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć, widzieć, być nawet uczestnikiem takich spraw, że największy poetyczny geniusz nic by poetyczniejszego wymyślić nie potrafił, że obok nich wszystkie utwory wyobraźni były poronionym płodem, obudzały niesmak w czytaniu. Dlatego przenosiłem zawsze towarzystwo ludzi nad towarzystwo książek, przyrodę nad bibliotekę. Chwile, przeżyte pod wpływem takiej poezji, stanowią najdroższy zapas najmilszych w moim życiu wspomnień³: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w krainie podkarpackiej; do niej należy zdarzenie, które tu chcę opowiedzieć.

Badanie mojego kraju pod każdym względem jest wrodzoną mi namiętnością, a widok okolic szczególniejszy ma dla mnie urok, mocniejszy niemal, niż znajomości z ludźmi. Pod takim bodźcem, przebiegając wzdłuż i wszerz Galicję, znalazłem się w obwodzie jasielskim, w okolicy Krosna, nad brzegami Wisłoka. Nie każdemu zapewne z moich braci wiadomo, że Podgórze galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce; trochę więcej oświaty, trochę więcej dobrego bytu między mieszkańcami, korzystniejsze cokolwiek położenie względem innych krain, a miałyby niepoślednią w Europie głośność. Obwód jasielski, a mianowicie brzegi Wisłoka od jego źródła aż do Pilzna, odznaczają się już fizjognomią tej krainy. Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniej pociągającym ku sobie moje oczy i serce, były zwaliska zamku odrzykońskiego.

Wszelkie ruiny tego rodzaju są dla mnie jakby grobem rodzinnym, widmem przeszłości, hieroglificznym kluczem od⁴ wiekowych dziejów, światem niewyczerpanym wspomnień, marzeń, smutków i pociech rzewnych. Ile razy spojrzę na coś podobnego, tylekroć zdaje mi się słyszeć głos wewnętrzny: i tu pogrzebany członek twojej przeszłości! a wnet religijne uczucia napełniają duszę, myśl podnosi się, budzi wolę, kieruje krok pielgrzymi, i jestem wśród gruzów.

Kilka dni już upłynęło od przybycia mojego w okolice Odrzykonია, a nie mogłem zwiedzić zamczyska. Odległość, czas dżdżysty i inne przeszkody oddalały ode mnie rozkosz tej pielgrzymki. A tymczasem widmo zwaliska po całych mnie dniach prześladowało. Panując wzniosłym położeniem nad okolicą, zdawało się z każdej strony zachodzić mi w oczy. Nie było zmiany cienia i światła, w której bym go nie widział; nie było fantastycznej postaci, której by nie wywołało z mojej wyobraźni. Podniosłali⁵ się za nim nawalna chmura, to na jej tle czarnym, poziewającym błyskawicami, widziałem olbrzyma mojej przeszłości⁶, złamanego, zgruchotanego, zwałonego,

¹ *wzbronny* – dziś: wzbroniony; niedostępny. [przypis edytorski]

² *poezja rajska* – przez **poezję rajska** rozumie zapewne Goszczyński opowiadania biblijne o stworzeniu pierwszych ludzi i o raju. [przypis redakcyjny]

³ *wspomnień* – w pierwodruku stale: spomnienie, spominać. [przypis redakcyjny]

⁴ *od* – w pierwodruku: **do**. [przypis redakcyjny]

⁵ *Podniosłali się* (daw.) – tu: czy to podniosła się; gdy się podniosła. [przypis edytorski]

⁶ *olbrzyma mojej przeszłości* – olbrzyma, wyobrażającego przeszłość mojego narodu. [przypis redakcyjny]

miotanego śmiertelnymi bólami, ale dawna wielkość groziła z jego czoła, oddychał ogniem, wypuszczał grzmotami słowa błogosławieństw, strzałami piorunów przypominał się światu, że żyje⁷; czasami zamglila go siatka deszczu; wówczas tajemnicza jego postać, obwiana tą zasłoną, stała przede mną jak anioł wiary i nadziei; inną razą⁸, błyszczący całym przepychem dnia wschodzącego, był dla mnie uosobieniem przyszłości, zmartwychwstaniem nowej postaci, w promieniach nowego ducha; a i wtedy nawet, kiedy w przerwach słoty uśmiechał się ponurym blaskiem zachodu, i wtedy nawet obudzał tysiąc myśli nie całkiem ponurych. Jednym słowem, wszystko, co doznawałem w owej chęci i niemożności obejrzenia zwalisk, porównać tylko można z przecuciami miłości w duszy dziewiczej, z jej marzeniami.

Tymczasem zbierałem troskliwie rozliczne wieści, dotyczące się jego dziejów. Źródło ich nie było obfite. Mogłem czerpać jedynie z towarzystwa, w którym żyłem; a wiadomo nam, jak mało terażniejsza szlachta przywiązuje wagi do podobnych rzeczy. Obok ich gumien⁹, obok ich gorzelni, czymże są te wszystkie, choćby najpyszniejsze, zwaliska? Wiadomość jarmarków w pobliskim miasteczku, zabawa sąsiedzka, szczegóły jakiegoś wesela lub pogrzebu, tyle zatrudniają ich pamięć i myśli, że nie ma w nich miejsca dla podań jakiegś tam ruiny. Nie mogłem przeto dowiedzieć się nic więcej, jak tylko, że zamek odrzykoński¹⁰ zbudowany był przez Firlejów, że w jego okolicy musiały się odbywać krwawe bitwy, bo dziś jeszcze wyorują zbroje i kule, że przed kilkudziesiąt laty był zamieszkały i przechowywał w swoich piwnicach odwieczne wino, że później ludzie przybyli w pomoc losom, niepogodom i czasowi i w zawody go niszczyli, że natomiast powstały z jego gruzów: klasztor kapucyński w Krośnie, kilka kamienic w Korczynie, kilka gorzelni, stajnia dla cesarskich ogierów, i tym podobnie: że dziś na koniec razem ze wsią tego nazwiska jest własnością hrabiego Jabłonowskiego¹¹.

– Więc dzisiaj zupełnie zniszczony – mówiłem do gospodyni domu, która mi najwięcej powyższych szczegółów dostarczyła.

– Prawie zupełnie – odpowiedziała – od czasu, jak się zapadły dwa pokoje, które jeszcze przed laty kilka¹² były zamieszkane.

– Zamieszkane? Przez kogo?

– Przez Machnickiego.

– Któż to był ten Machnicki?

– On jest jeszcze. Zapomniałam poznać z nim pana. Najważniejszy to dzisiaj szczegół odrzykońskich zwalisk. Machnicki jest, mówiąc krótko, wariat. O przyczynach jego obłąkania rozmaicie powiadają. Najpodobniejsza do prawdy powieść, że będąc urzędnikiem cesarskim, oddał się zbyt pracą swojego urzędu i tym sposobem stracił jedną klepkę. Po tym przypadku naturalnie został bez domu; a że miał zawsze szczególny pociąg do zamczyska, tam więc zamieszkał dwa pozostałe pokoje, i był ich mieszkańcem, dopóki nie runęły. Nadto potrzeba panu wiedzieć, że się

⁷ *przypomniał się światu, że żyje* – w pierwodruku: że jeszcze żyje. [przypis redakcyjny]

⁸ *inną razą* – dziś popr.: innym razem. [przypis edytorski]

⁹ *gumno* – część gospodarstwa wiejskiego przeznaczona na młócenie zboża lub na budynki gospodarcze. [przypis edytorski]

¹⁰ *zamek odrzykoński* – założony był jeszcze za Kazimierza Wielkiego, jeżeli nie wcześniej. Z powodu skalistego gruntu nazywał się Kamieńcem, a także z niemiecka Erembergiem (Herrenberg). Najdawniejsi znani dziedzice zamku, Morkorzewscy, od nazwy zamku Kamieńca zaczęli zwać się Kamienieckimi. Potem posiadaczami jego byli Stadniccy, Bonarowie, Firlejowie, Skotniccy i inni. Miewał on niekiedy po dwu właścicieli. Jeden z Firlejów (Mikołaj) posiadał znów cały zamek, a ten po jego śmierci bezpotomnej przeszedł po kądzieli do Jabłonowskich. W r. 1657 Jerzy Rakoczy, w zмовie z Karolem Gustawem wtargnąwszy do Polski, obległ zamek odrzykoński. Załoga długo się broniła, a gdy jej zabrakło żywności, tajemnymi przejściami podziemnymi przeszła do pobliskiego Krosna. Rakoczy zajął opuszczony zamek i zburzył go. Odbudowano go potem, ale już nigdy nie wrócił do dawnej świetności. W XVIII wieku uległ zupełnemu zaniedbaniu. Już wtedy zaczęto rozbierać jego mury na różne okoliczne budowy, o czym wspomina niżej Goszczyński. [przypis redakcyjny]

¹¹ *Hrabia Jabłonowski* – rodzina Jabłonowskich, o której tu mowa, nosiła tytuł nie hrabiowski, ale książęcy, który otrzymała w XVIII w. od cesarza Karola VII. [przypis redakcyjny]

¹² *przed laty kilka* – kilka lat temu. [przypis edytorski]

nazywa Królem Odrzykońskim i uważa się za samowładnego pana owych ruin, a stąd mamy nieraz pełno scen pociesznych.

Ciekawość względem podobnych ludzi jest łatwa do wytłumaczenia, nie dziw przeto, że mnie zajęła powieść o Machnickim i chciałem powziąć¹³ jak najdokładniejsze o nim wyobrażenie.

– Pani go zna? – zapytałem.

– O mój Boże! – odpowiedziała z uśmiechem – jak zły szeląg. Bywa u nas częściej niż gdziekolwiek, bo trzeba panu wiedzieć, że to nie jest wariat z rodzaju pospolitych: ma on wiele wrodzonych zdolności i nauki, co i dziś jeszcze widać. Są chwile, że wziąłbyś go pan za człowieka z najzdrowszym rozsądkiem. Zdarzyło się to niedawno jednemu z podróżujących cudzoziemców; Machnicki mieszkał jeszcze w swojej królewskiej rezydencji. Ów cudzoziemiec, zwiedzając zamczysko, spotkał się z nim, wszedł w rozmowę, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki mówi bardzo dobrze kilku językami, i znalazł¹⁴ go tak dobrze, że wrócił do nas oczarowany tą znajomością.

– Któż? Machnicki?

– Ale gdzie tam. Cudzoziemiec podróżny. Zaczął nam tedy opowiadać, że nie spodziewał się znaleźć w tym wieku i w Polsce pustelnika tak rozumnego. Niemało zdziwił się, kiedyśmy odkryli, kto to był w samej rzeczy ów jego uczony pustelnik. Mimo to jednak pewna jestem, że odjechał, niezupełnie nam wierząc.

– Z tego wszystkiego, co od pani słyszę, jestem bardzo ciekawy poznać Machnickiego. Szkoda, że opuścił zwaliska, miałbym powód jeden więcej do ich zwiedzenia.

– Nic łatwiejszego, jak go poznać, nawet w zamczysku, bo choć tam więcej nie mieszka, to pracuje ciągle, wałęsa się po nim; co dzień go pan spotkasz. Ale byłby to trud niepotrzebny. Zobaczysz go pan w naszym domu. Pojutrze imieniny mojego męża; Machnicki tego dnia nigdy nie opuści: zaszczyca nas co rok swoim powinszowaniem, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki jest także poeta, a wiersze jego wcale niezłe. Często obdarza nimi sąsiedztwo z powodu rozmaitych okoliczności. Najdziwniejsza rzecz w takim wariacie, że ma bardzo wiele dowcipu, ale dowcipu tak złośliwego, że nieraz można myśleć, czy nie udaje głupiego, aby mógł tym bezpieczniej kąsać. Niektórzy szczerze gniewają się za jego przycinki; my, co go lepiej znamy, serdecznie się śmiejemy, bo czyż można gniewać się na biednego wariata? A że takim jest, sam pan przyznasz, jak go tylko ujrzysz.

¹³ *powziąć* – w pierwodruku: **powziąć**. [przypis redakcyjny]

¹⁴ *znaleźć kogoś dobrze* – (kalka składniowa z fr.) odnieść pozytywne wrażenie ze spotkania z kimś; polubić kogoś. [przypis edytorski]

II. Imieniny

Ze szczerą niecierpliwością wyglądałem owego dnia imienin, który miał mi nastęczyć sposobność poznania Króla Zamczyska; z powiększoną, kiedy wreszcie nadszedł. Towarzystwo było liczne i przyjemne, ale ja o Machnickim tylko myślałem. Miało się już ku zachodowi słońca, a jego jeszcze nie było. Zabierano się właśnie do obiadu, kiedy oznajmiono przybycie gościa, oczekiwanego prawie przez wszystkich, ale przez wszystkich z innego, jak mój, powodu. Byliśmy naówczas w jadalnej sali. Otwierają się drzwi.

– A! Pan Machnicki! Pan Machnicki – zawołano zewsząd.

On to był w istocie. Wszedł ze śmiałą pewnością siebie, którą daje albo ciągłe życie wśród świata ukształconego, albo uczucie wewnętrznej wyższości nad resztą towarzystwa. W nowo przybyłym prędzej to drugie dało się dopatrzeć: w ułożeniu jego przebijało się cokolwiek dumy, jednak połączonej z pewną uprzejmą godnością, która waruje¹⁵ od ubliżenia innym. Po kilku krokach powitał stosownym ukłonem licznych dokoła gości; a w tejże chwili podszedł ku niemu gospodarz domu, podał mu rękę, ścisnęli się wzajemnie.

– Wszak to dzień imienin szanownego pana? – pierwszy zaczął Machnicki.

– Tak jest – odpowiedział gospodarz – a dla mnie i stąd miły, że mogę powitać w moim domu tak nam drogiego, a przecie tak rzadkiego gościa.

– A dla mnie – rzekł Machnicki z zimnym, lekko szyderczym uśmiechem – stąd jeszcze miłszy, że mogę mu złożyć moje życzenia. Na ten raz jedno tylko wynurzę, abyś nigdy nie wyszedł źle na swoich żądaniach i zawsze więcej żądał dla drugich, jak dla siebie. Reszta na potem, bo zdaje mi się, że obiad czeka gości, a goście obiadu jeszcze bardziej.

Obecni temu, wszyscy prawie, znali Machnickiego osobiście, oswojeni byli z tonem jego mów, we wszystkim znajdowali pobudkę do uciechy; i powyższe więc słowa tylko ich rozśmieszyły, jak zwyczajne głupstwo: może to było i konieczne w tych, którzy od dawna znali go wariatem i ostrzelali się z jego przycinkami, ale na mnie ta krótka scena zrobiła przeciwne całkiem wrażenie. Żaden ruch, żaden wyraz Machnickiego nie uszedł mojej uwagi, od czasu jak wstąpił do sali, i w niczym nie dostrzegłem owego okrzykanego obłąkania. Przeciwnie, wszystko wprowadzało mnie na uroczyste zastanowienie się nad nim i podnosiło do wyższego stopnia ciekawość. Przypadek wygodził po części moim chęciom: zasiedliśmy do stołu prawie tuż naprzeciw siebie. Ale długo nie mogłem z tego korzystać. Według zwyczaju, mając wedle siebie sąsiadkę, miałem zarazem obowiązek służenia jej i bawienia. Nie wiem, jak dopełniałem tej powinności, ale to pewne, że byłem głównie zajęty Machnickim, tak, że wkrótce, przy całym roztargnieniu, mogłem sobie narysować zewnętrzny przynajmniej obraz jego fizjonomii.

Potrzeba sobie wyobrazić człowieka wzrostu więcej trochę niż miernego¹⁶, postawy prostej, budowy silnej, bark szerokich¹⁷, z doskonałą harmonią we wzajemnym do siebie stosunku wszystkich członków, jednym słowem: człowieka dobrze i pięknie zbudowanego, któremu jednak zbywa cokolwiek na stosownej tuszy; przy takiej budowie wyobraźmy sobie ruchy swobodne, naturalne, zgrabne, często żywe, a zawsze miarkowane pewną godnością, pewną powagą mimowiestną¹⁸, niewymuszoną, napiętnowaną charakterem dawno ustalonym. Miał około lat pięćdziesiąt. Pokazywały to i włosy, w połowie siwe, i cała powierzchowność twarzy. Mimo to odgadywałeś, że ta twarz była kiedyś ładna; chudość nie zepsuła jej owalu, nie zaostrzyła zbyt mocno rysów, a wydatniejszym zrobiła nos pociągły, z lekkimi wypukłościami średniej chrząstki

¹⁵ *warować* – tu: zabezpieczać. [przypis edytorski]

¹⁶ *mierny* – tu: średni. [przypis edytorski]

¹⁷ *bark szerokich* – tu: dobrze zbudowany; szeroki w ramionach. [przypis edytorski]

¹⁸ *mimowiestny* (daw.) – nieświadomy. [przypis edytorski]

i końcowego zaokrąglenia. Nie była to jednak fizjognomia ludzi pospolitego rozumu i charakteru. Wpatrzywszy się w nią lepiej okiem znawcy, dostrzegłeś pod zwierzchnią jej powłoką rysów połamanych przez uniesienia namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha, jasno widziałeś w jej głębi ruinę myśli i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który, o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumu pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad nimi wyższości – uczucia. Najwyraźniejszym objawieniem tego smutnego stanu była dziwna ruchliwość oblicza. W chwili rozigrania widziałeś tam naraz prawie kilka rozmaitych, najsprzeczniejszych wzruszeń, ale w każdym z nich było coś tak szlachetnego, że nawet w podobnym pasowaniu się z sobą nie szpeciły twarzy, nie robiły na patrzącym przykrego wrażenia. To samo działo się w dużych, siwych oczach; czasem błyskały one takim szczególnym spojrzeniem, że blask ich przechodził w dziką jaskrawość; ale i wtedy uderzała cię tylko jakaś energia duchowa, jakaś żywość myśli, które lubo gwałtownie przelatowały, znać jednak było, że nie przelatowały samopas, ulegały kierunkowi pewnej woli i mimo przebłyskiwania objawiały się silne, pełne i wykończone.

Widok tej twarzy w zupełnym uspokojeniu nie mniej był ciekawy: wszystko wtedy oddychało w niej jakimś uczuciem wyższości nad przytomnymi¹⁹, zanadto pewnej siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo, jakąś w rzeczy samej myślą panowania; na dnie błyszczał niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tym wszystkim leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystej krepy, której wydatniejszymi fałdami były gęste, przez pół siwe i ciemne włosy, na czoło nasunione²⁰ z pewnym zaniedbaniem, i ciemniejsze jeszcze, wielkie brwi, nad okiem zwisłe. Głos jego był silny, dźwięczny, a obok tego czysty, przyjemny i łatwo gnący się do dźwięku wszelkiego uczucia.

W czasie tego obiadu, chociaż jadł bardzo skromnie, a pił jeszcze skromniej, i to czystą wodę, mało się jednak odzywał, a zawsze zmuszony przez kogoś. Uważałem wtedy rzadką żywość i trafność w odpowiedziach, a w rozmowach, tak krótszych, jak dłuższych, wielką łatwość i szlachetność tłumaczenia się.

I tego jednak, co mówił, nie mogłem po największej części dosłyszeć, wciągany nieraz przez moją sąsiadkę do nowej rozmowy, którą przez grzeczność musiałem utrzymywać. Wkrótce ciekawość, zwrócona w inną stronę, przemogła nad grzecznością; mimo całego przymusu odpowiadałem niestosownie albo wcale nie odpowiadałem. Dysharmonia między naszymi myślami była widoczna. Postrzegła wreszcie moja pani to roztargnienie; zrazu zaczęła żartobliwie napomykać jego przyczynę, która kobiecie wydaje się jedyną i konieczną w mężczyźnie młodym i nieżonatym, w końcu, zwróciwszy się ku drugiemu sąsiadowi, zostawiła mi zupełną swobodę zajęcia się Machnickim. Byłem jej za to bardzo wdzięczny, bo właśnie tejże chwili rozpoczęła się znowu scena, która przedmiot mojej ciekawości odsłoniła mi z innej strony, ważniejszej niż jego powierzchowność.

Znajdował się w naszym towarzystwie pewien hrabia K.... Był to młody, dwudziestokilkoletni mężczyzna. Należał on z rzemiosła swojego do rzędu ludzi, znajomych pod rodzajowym nazwiskiem „przyjemnych trzpiotów”, jakich ma każdy kraj, każda prowincja, każda okolica, każde miasteczko, każda koteria, a których wartość gatunkowa odpowiada sferze, gdzie krążą wyłącznie²¹. Hrabia K. był jednym z dowcipów podrzędniejszych, cyrkularnych²². Nie przeszkadzało to jednak, że cały cyrkuł²³ bawił się nim w najlepsze. Kobiety dobrego miejscowego tonu szalały za jego towarzystwem; młodzież, w pośledniejszej swojej części, naśladowała go, w czym mogła; starsi i rozsądniejsi pobleżali, bo był hrabią i miał jaki taki mająteczek: zresztą był, jak to zowią, dobry chłopiec. Znał się na koniach i psach, strzelał celnie, jadł i pił o zakłady, śpiewał i gwizdał przy fortepianie, tańczył

¹⁹ *przytomny* – tu: obecny. [przypis edytorski]

²⁰ *nasuniony* (daw.) – nasunięty. [przypis edytorski]

²¹ *wyłącznie* – tu: przeważnie, najczęściej. [przypis edytorski]

²² *cyrkularny* – związany z cyrkułem, tj. małą jednostką administracyjną; lokalny. [przypis edytorski]

²³ *cyrkuł* (daw.) – okręg; mała jednostka administracyjna w zaborze rosyjskim; odpowiednik dzisiejszej dzielnicy lub gminy. [przypis edytorski]

na zawołanie bez muzyki i pary, nie zostawił nikogo w spokoju, powolniejszym wręcz dokuczał, drażliwszych wydrzeźniał²⁴ z tyłu, koniec końców błaznował, najczęściej kosztem tych, nad którymi przystawało raczej litować się; wszakże, usprawiedliwiając go, potrzeba dodać, że przykry ten dowcip miał źródło raczej w głupocie jak w złym sercu, raczej w zepsutym smaku towarzystwa, w którym żył, jak w skłonnościach wrodzonych. Wszedł on w nałóg złośliwego bawienia się, jak wchodzimy we wszelką rozpustę, przez poklask zepsutych. Dla podobnego człowieka Machnicki, albo, że użyję całego wyrażenia samegoż hrabiego, Król Machnicki, był to prawdziwie **królewski kąsek**.

Całe towarzystwo wiedziało o przygotowanym napadzie na biednego wariata, czekało niecierpliwie, z nielicznym wyjątkiem, chwili starcia się dwóch takich zapaśników, których już dlatego umieszczono przy stole obok siebie, i doczekało się nareszcie. Hrabia zaczął. Napełnił kielich winem, podniósł się, ułożył twarz figlarnie uroczyście i zawołał:

– Zdrowie Króla Odrzykońskiego! Oby jak najdłużej panował dla naszej radości, w takiej mądrości i sławie u świata, jak dotąd.

Znaleźli się, którzy odpowiedzieli na ten toast, inni, którzy szczerze zachichotali, inni wreszcie, którzy się zmarszczyli widocznym niezadowoleniem – do ostatnich i ja należałem; znam cześć dla gruzów umysłu ludzkiego, jak dla wszelkich innych. Machnicki siedział nieruchomy, i byłby może takim pozostał, gdyby młodzik, za daleko swój żart posuwając, nie był go trącił w ramię i nie przemówił z drwiącym grymasem:

– Królu, azaliż grzeczność nieznana w twoim państwie?

Dziwna zmiana chwilowa jak błyskawica mignęła przez oblicze Machnickiego i zostawiła po sobie tylko chmurną powagę; nalał spokojnie swój kielich wodą, i przemówił, nie wstając z siedzenia:

– Przyjmuję zdrowie pana Hrabiego w ten sam sposób, w jaki było wzniesione, i mam sobie za powinność odpłacić toast toastem, przemowę przemową... Trzeba nam wiedzieć, moi panowie, że są dwa rodzaje wariatów: jedni, których bardzo mało, wiedzą o swoim stanie, umieją go znosić i są tymi, co właściwie zowią się wariatami; drudzy, z rozumem niedołęźniejszym od wariacji, sądzą, że mają najzdrowszy, ani na chwilę o tym nie wątpią; takich jest bardzo a bardzo wiele²⁵, a nazwisko ich znajdzie pan Hrabia w Słowniku swojej grzeczności. Pierwszym i wino nie zaszkodzi, toteż ich zdrowie można pić winem; drugim pomaga niekiedy zimna woda, dlatego wodą piję twój toast, panie Hrabio! **Oby podobni tobie rozmnożyli się bez liku u naszych nieprzyjaciół!**

Toast Machnickiego wzbudził śmiech głośniejszy i powszechniejszy jak pierwej. Wielu cieszyło się kłopotem hrabiątka tak samo, jak wprzód ostry żartem z Machnickiego, inni zaś ze szczerzej przychylności ku sprawie zaczepionego. Wszakże ten usterk nie zraził jeszcze Hrabiego, przynajmniej umiał go pokryć głośnym śmiechem, chociaż, widać było, wymuszonym.

– Jak to, Królu – zawołał, nachylając się uprzejmie ku Machnickiemu – ty byś miał się gniewać za życzenie, dalibóg serdeczne? Otóż dla przebłagania ciebie chcę odtąd zostać najwierniejszym twoim poddanym.

– Przepraszam – odparł natychmiast Machnicki z niewzruszoną powagą – Moją polityką jest nie cierpieć w moim państwie większego ode mnie... króla ma się rozumieć. Panie Hrabio, z twoim szlachetnym usposobieniem prędko byś mnie z tronu zsadził.

Śmiech towarzystwa jeszcze się bardziej powiększył: czuł teraz Hrabia, że jego kosztem, że kosztem jego dowcipu, który się rozbił o głupstwo niby wariata, – i nie znalazł już mocy pokryć swojej przegranej choćby udanym śmiechem, ale stracił do reszty przytomność dobrej myśli, kiedy Machnicki, który przez cały ten czas wpatrywał się w grę jego oblicza z zimnem szyderstwem politowania i wzgardy, zawołał ze swojej znów strony, jakby naśladując Hrabiego:

²⁴ wydrzeźniać – przedrzeźniać. [przypis edytorski]

²⁵ bardzo a bardzo wiele – w pierwodr.: bardzo, o bardzo wiele. [przypis redakcyjny]

– Jak to? Panie Hrabio, azaliż nie ma już dowcipu w twoim dowcipie? – a na zakończenie, uderzywszy kielichem w kielich, który właśnie pomieszany Hrabia niósł machinalnie do ust, zawołał: – A więc zgoda dwóch półgłówek! Któż z nami, jeśli my przeciw sobie?

Żartowniś, dobity tym ciosem, któremu nie przestawał towarzyszyć barbarzyński śmiech wielkiej części towarzystwa, byłby może wypadł z karbów okoliczności i szczerym gniewem wybuchnął, gdyby litość kilku roztropniejszych kobiet, zwykle przytomnych w podobnym razie, nie była nadała zabawie innego kierunku.

– Panie Machnicki – zawołała jedna z nich – zaimprovizuj nam cokolwiek z łaski swojej. Już tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć jego poezji. Powiedz nam co wierszami.

Na ten głos Machnicki wrócił do zwyczajnej postawy przy stole, postawił spokojnie kielich i pojrzał²⁶ dokoła z taką twarzą, jak gdyby nie było na niej przed chwilą żadnego wzruszenia; odezwał się tylko:

– Ma to być drugi akt komedii! – ale z uśmiechem więcej łagodnym jak szyderskim.

– Prosiemy²⁷!

Machnicki skinął ręką na ucieszenie.

– Z całego serca! – rzekł. – Wymawiam tylko sobie, aby nie miano do mnie żalu, gdyby jakim przypadkiem nie podobało się coś w moich wierszach komukolwiek. Państwo wiecie zapewne, że człowiek opętany natchnieniem Poety przestaje być sobą. Każdemu z nas, jak tu jesteśmy, zdarza się, jeśli nie ciągle, to przynajmniej co dzień, gadać, nie wiedząc, co gada, chociaż prozą; a cóż dziwnego, że człowiek mówiący wierszami i bez przygotowania nie jest czasem panem słów i myśli. Będę improwizował, jeżeli się naprzód zapewnię o takim pobłażaniu:

Chętnie jałmużnę dajecie
Zebrzącej o grosz niedoli,
Nie odmówcież dobrej woli
Wariatowi i Poecie²⁸.
Wszak to worka nie wysusza,
A skorzystać może dusza:
A czyja? Zapewne wiecie.

Ze szczerą ciekawością wpatrywałem się w Machnickiego i chwytalem każde jego słowo. W rzeczy samej zdziwienie moje było nadspodziewane nad ową łatwością wysłowienia się i szybkością myśli, co tak przelatywała z jednego tonu w drugi. Znać w tym było nie tylko wprawę, ale swobodę ducha i władzę nad myślami, którą natchnienie tylko dać może. Nie mogłem wstrzymać się od pomyślenia w duchu: ten człowiek nie na wariata się rodził, a przynajmniej nie na zwyczajnego! Kiedy zaś umilkł na chwilę, jak żeby²⁹ czekał od obecnych przytwierdzenia swoim słowom, zawołałem pierwszy, stosownie do ostatniego wiersza:

– Wiemy! Wiemy! I z rozkoszą słuchamy dalej! —

Kilka już razy, z powodu sceny poprzedzającej, dałem uczuć Machnickiemu swoją dla niego życzliwość, ale uważałem, że w tej chwili przyjął ją lepiej niż kiedykolwiek i mocniejszą zwrócił ku mnie uwagę. Wzrokiem szczególniej przenikliwym dłużej na mnie spoczął, jakby mię chciał zbadać na wskroś, a znalazłszy zapewne w moim odezwaniu się szczerą, uśmiechnął się lekko, z pewnym zadowoleniem – i uważałem, że w ciągu dalszej improwizacji na mnie opierał głównie swoje wejrzenia. Tymczasem wziął w rękę próżny kielich i tak kończył:

²⁶ *pojrzyć* (daw.) – spojrzeć. [przypis edytorski]

²⁷ *prosiemy* (dial.) – tak w pierwodruku. [przypis redakcyjny]

²⁸ *Wariatowi i Poecie* – tak jest w wydaniu z r. 1870; w pierwodruku czytamy: **Waryatowi poecie**. [przypis redakcyjny]

²⁹ *jak żeby* – jak gdyby. [przypis edytorski]

Mamy dziś święto sąsiada!
Tak nam kalendarz powiada.
By nie zostać niegrzeczniejszym
Od samego kalendarza
I długami serca dłużnym,
A więc przy święcie dzisiejszym
Piję zdrowie gospodarza,
A piję kielichem próżnym.
Jeśli próżny, moją wina?
Mój kraj pustka i ruina,
Bo mój kraj to serca wasze:
Skądże wam napełnię czasę?
Czyż z mej duszy? Na to zdrowie
Nikt mi pewno nie odpowie.

A chociażbym z niej i nalał,
Cóż by to się stało z wami?
Każdy by jak ja oszalał...
Lecz nagrodzę życzeniami.
O! życzeń tyle, co nędzy.
Wszystko zamknę w krótkim słowie:
Obym pić mógł jak najprędzej
Z pełnego dzisiejsze zdrowie,
A życzył rozumnie – w prozie —
Na wszystkich świętych – w obozie —
Przy zastawie bojowiska,
Śród prochu, ognia i dymu!
Tak wam mówi król zamczyska:
A co mówi, to dla rymu.

Taka była improwizacja Machnickiego i z małymi zapewne odmianami, bo ją w tejsze chwili odpisywałem. Jako poezja nie ma ona zapewne nic szczególnego, zwłaszcza w czytaniu; ale trzeba ją było słyszeć w ustach Machnickiego – z żywym dźwiękiem jego głosu, ze szczerym uczuciem wezbranego serca. Nadto, przy całym tonie ucinowym i lekkim, nie można jej zaprzeczyć pięknego głównego pomysłu i prawdy, lubo za cierpkiej, wszakże zawsze prawdy, a zwłaszcza dosyć zastosowanej do osób i okoliczności. Dlatego powszechne zrobiła ona wrażenie; a to, którego ja doznałem, nie było najmniejsze. Kiedy więc inni podnieśli oklask i okrzyk brawa, ja, korzystając ze zgietku, przechyliłem się przez stół ku Machnickiemu i szepnąłem półgłosem:

- Winszuję panu nie rymu, ale sensu.
- Pan go dostrzegłeś? – zapytał Machnicki.
- Bez trudu.
- Ale tego, oprócz pana, nikt tu więcej nie powie.
- Bo nie chce.

– Masz pan słuszność. Udają, że się bawią wariatem: niby lepsi od niego. Smutna to rzecz jednak! – i westchnął głęboko. – Patrz, jaka uciecha z własnej hańby. —

Rozmowę naszą przerwała kolej toastów, kończących obiad. Następnie muzyka wezwała do tańców. Powstano od stołu. Wszystkie moje chęci zmierzały do tego, żeby wejść w ściślejszą

znajomość z Machnickim: szukałem go na wszystkie strony, niebawnie³⁰ postrzegłem. O jednym widać myśleliśmy oba, gdyż pierwszy przystąpił do mnie. Byliśmy tylko we dwóch na ustroniu.

– Pan nie lubisz tańców? – zapytał mnie.

– Przeciwnie.

– A jednak nie tańczysz.

– Od jakiegoś czasu.

Ja się uśmiechnąłem, on zamyślił się na chwilę.

– Dobrze pan robisz. Od jakiegoś czasu³¹ – a mówił to z wydatnym przyciskiem – nikt by tańczyć nie powinien; ale poradźże tu z tymi ludźmi!

Zatrzymał się znowu, zachmurzył się, po chwili przybrał twarz obojętną i obojętnie mnie zapytał:

– Pan zapewne z dalekich okolic?

– Tak, niedawno poznałem tutejsze.

– Niewiele zyskałeś.

– Przeciwnie – odpowiedziałem ze szczerą uprzejmością – miałem przyjemność poznać pana Machnickiego.

Pojrzał z niedowierzaniem.

– Ale ten Machnicki wariat!

– Nie dla mnie, jak dotąd – odparłem z uśmiechem, a na dowód pokazałem mu odpis jego improwizacji – w tym przynajmniej widzę więcej jak rozum pospolity.

– A u nich jednak to wariacja.

Po chwili nowego milczenia nagle zapytał:

– Widziałeś pan zamek odrzykoński?

– Z daleka.

– Więc musisz tu być bardzo niedawno?

– Od tygodnia.

Na tę odpowiedź postrzegłem niezadowolenie w twarzy Machnickiego.

– Jak to? Od tygodnia tu być i nie poznać zamku! To jednak tak blisko! A choćby i najdalej? Drugiego takiego miejsca nie ma na ziemi. Powinniśmy do niego pielgrzymować, jak muzułmanie do grobu Proroka.

Mówiąc to, podnosił głos coraz wyżej, ruchy ciała ożywiały się, na twarz występował dziwny, wewnętrzny płomień; po raz pierwszy postrzegłem w nim obłąkanie.

Wymawiałem się jednak szczerze przeszkodami niezależnymi ode mnie, jak było w istocie. Machnicki słuchał niecierpliwie, gotował się widać do nowego uniesienia, kiedy wpadła pomiędzy nas trzecia osoba. Machnicki zwrócił się nagle i odszedł. Widziałem go jeszcze raz, z daleka; zdawało się, że chciał znowu mię spotkać i mówić, i widać było, że się wahał; wkrótce straciłem go całkiem z oczu: jakoż powiedziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie. Było to nad moje spodziewanie; mocno żałowałem, że puścił mimo tak dogodną zrzeczność lepszego zbadania tej szczególnej istoty. Nie pozostało mi teraz, jak szukać go w zamczysku: i na to przeznaczyłem nieodmiennie dzień następujący.

³⁰ *niebawnie* – niebawem. [przypis edytorski]

³¹ *od jakiegoś czasu* – trzeba się domyślać: od upadku powstania listopadowego. Podana tu rozmowa odbywa się w parę lat potem. [przypis redakcyjny]

III. Zamczysko odrzykońskie

Nazajutrz, ledwie dzień zaświtał, byłem już w podróży do zamczyska, bo chciałem razem z nim wschód słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko może być poranek majowy i pogodny po tylu dniach nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę, pomiędzy sadami lub lasami. Oko w każdym kierunku odpoczywało na śniegach drzew rozkwieconych; wszystkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona szata okolicy srebrzyła się perłami rosy. Niewysłowiona, czarująca świeżość, jak swoboda lat młodości, przenikała i zachwycała duszę, grała we wszystkie zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejsza, las ciemniejszy, skały gęściej szarzeją, dzikość pustyni coraz wyraźniej czuć się daje, urok miejsca coraz silniej podbija duszę; nagle puszcza się rozstąpiła i zamek w całej pogrobowej okazałości stanął przede mną.

Nie będę się rozwodził, z jakim uniesieniem powitałem ten widok, nie będę opisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów; tam, gdzie każda ściana, każdy zakąt, każdy kamień, każdy krok wyprowadzały czarodziejską różdżką z mojej duszy nowy coraz potok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może zanadto nużący, a co pewniejsza, niepodobny do wykonania. Dodam nadto, że celem niniejszej powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną jej osobą nie ja, lecz król zamczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na którym by przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiej, jak najdobitniej. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne rzucić kilka zarysów ogólnych zamczyska i jego okolic.

Zamek odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra, należąca do łańcucha jednej z Karpackich odnóg, okryta świerkowymi lasami, jak cały szereg jej rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jej wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnymi bryłami głazów, pomiędzy którymi rosną pomieszane: brzozy, sosny, buki, a z drobniejszych krzewów: głóg, jałowiec, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największej części wygląda jak mogiła³² gruzów, jednakże znaczna część murów, zwłaszcza zewnętrznych, stoi dotąd nieporuszona. Najwyższa część zamku zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostej, równolegle niemal do południowej, kąty innych części są w rozmaitej liczbie, rozmaitej wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwalisk; inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszym opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrówką i szybkim a trudzącym przeglądem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, uczułem na koniec potrzebę wytchnienia. Obrałem na to miejsce, skąd bym mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszej okolicy: i w samej rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególnie od południa i zachodu. Z jednej strony padół, zaledwie obejrzący, zasiany miasteczkami i wsiami, pocieniowany lasami, przepasany łożem Wisłoka; z drugiej zaś pasmo Karpat rozłożyło się przed moim okiem bez żadnej zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknnością tego obrazu: wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach, zwiastując słońce; ku wschodniej więc stronie zwróciłem oczy.

Po chwili i słońce zjawiać się zaczęło w grubej chmurze, jakby go noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała; chmury wprawdzie opadły i rozpierzchły się, a słońce zabłysło od razu w całym blasku, ale był to blask za wczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia deszcz zapowiada, blask oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśnieje szczęściem, kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przecucie boleści.

Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody, zwanej martwą, ze stanem duszy ludzkiej. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie: rzekłbyś,

³² *mogila* – tu: kopiec, pagórek. [przypis edytorski]

że chcą napatrzeć się sobie, zaczem je mrok chmury rozłączy; kwiaty mocniej wonieją, jak żeby³³ spieszyły się z daniną kadzidła krótkim chwilom pogody; mimo godziny porannej zaduch południa; mimo przepychu światła jakaś w nim melancholia, jakiś brak, coś na kształt owej niepojętej tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojej pociechy znaleźć nie umie.

Takie było oblicze owego poranku; nieznacznie, mimowiestnie, wpływ jego i mnie ogarnął, tym łatwiej, że mnie usposabiało do rozrzewnienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przegrywką³⁴ odzywało się zrazu po stronach duszy, z wolna ułożyło się w piosenkę mniej więcej wyraźną, aż nastroiwszy do swego tonu uczucia i myśli, wylało się na papier w następującym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin kochanku,
Jaki cię smutek naciska?
Anioł przeszłości, anioł poranku
Spotkały się u zwaliska.

Widzę w objęciu nadziejską³⁵ parę,
Widzę ich dwa widma chmurne,
Jak razem płaczą, jak łez ofiarę
Kładną razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą
I zajęczał im w podzięce;
Słyszę jęk jego, jak dzikie echo
Po bolesnej gór piosence.

Wciąż koniec śpiewu. Kiedyż pieśń nowa
Rozpocznie się przez kwilenie
Nowych narodzin? Paro duchowa,
Daj mi przyszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższej dumki, kiedy usłyszałem za sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać było zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały; wszakże strój osobliwy szczególniej mię uderzył. Suknie, schodzone cokolwiek, były jednak porządne i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomieszanego umysłu; za to szersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz, otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych na pół rozwiniętym kwiatem, gałązka świerku sterczała zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitymi kwiatkami polnymi, to liśćmi, w rękę trzymał kość z ręki ludzkiej, jak mi się wydało na pierwsze wejrzenie. Ten strój, tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mogłem go od razu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie, nie całkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że jakiś czas byłem jakby pomieszany: i nie wiedziałbym, od czego zacząć rozmowę, gdybym się nie upewnił w tejże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie, w jakiej go postrzegłem, z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu; z wolna podniósł nad głowę kość, którą trzymał, i uroczystym przeciągał głosem: „Anioł przeszłości, anioł poranku spotkały się u zwaliska!”

³³ *jak żeby* – jak gdyby. [przypis edytorski]

³⁴ *przegrywka* (daw.) – refren; przegrywka. [przypis edytorski]

³⁵ *nadejską* – w pierwodruku: **nieziemska**. [przypis redakcyjny]

Zamilkł, zniżył kość z tą samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie, i rzekł, nie zmieniając wyrazu twarzy:

– Ja, król odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, naprzód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hołd złożył mojemu królestwu: biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojej dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tym moim berłem; a teraz... – zmienił nagle twarz i z uprzejmym uśmiechem uściśnął serdecznie moją rękę – a teraz witam jako brat brata, a przede wszystkim najmocniej przepraszam, jeżeli moim nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia. Podobne chwile są nieopłacone i ja znam ich wartość; i ja także jestem poetą. Szczerze więc przepraszam.

– Ja to pierwszy powinienem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego państwo – odpowiedziałem, stosując się do królewskiej Machnickiego roli.

– Z tej strony bądź spokojny – rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością – już po wczorajszym poznaniu, chociaż dalekim, serce moje przychyliło się ku niemu³⁶; życzyłem sobie jego odwiedzin; zrazu chciałem mu to oświadczyć, rozważywszy, zaniechałem. Co bym mówił z pełności serca, to by wzięto za wybryk wariata. Mniejsza o mnie, ale część mojej śmieszności i na niego by spadła. Pan znasz świat – znasz wczorajsze towarzystwo – wiesz, jak mnie uważają, wiesz to dobrze – niech to pana nie miesza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najcześnie z ich serc – ten kwiatek przekwitły więcej ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. Wolę tym gruzom królować. Z tym wszystkim nie są oni najgorsi. O! daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług ich rozumu, ale wariaci. Mogłem być ich królem i nie chciałem. Dlaczego? Jak? Kiedy się lepiej poznamy, sam przyznasz mi słusność. Ale zostawmy to na później. Obyczajem świata zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrówki prześliczną chwilę, tylko niepewną.

– Bardzo tego żałuję – odpowiedziałem – widoki cudne, potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się nimi nasycić.

– Masz pan słusność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało; cóż gdybyś pan duszę zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Geniusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko że to jest tajemnica, wielka, zaklęta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod boki tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwej wartości. Gruzy i gruzy! powiadają oni; stare, okazałe, to prawda, ale nic więcej, tylko gruzy jakiegoś zamku. A ja panu powiadam, że te gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było podnieść ich zasłonę, świat z boleści wzięłby się za włosy; zobaczyłby pod nimi przestrzeń pustyni większej jak Sahara, w każdym kamieniu trupa, w każdej warstwie muru pokolenia wymordowane, zobaczyłby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie musiałby zgadywać, wieża Sennaru³⁷ pigmejczyk przed nimi. Jest to coś jak majestat narodu.

– Wierzę panu.

– Nie dziwiłbym się, gdybyś nie wierzył; za krótko jesteśmy z sobą. Ale później, może... – tu zatrzymał się i nagle przeszedł z widocznym umysłem³⁸ do innego przedmiotu.

– Podśluchałem wiersz pana. Nie przepraszam go za to. Wszak jestem tu królem, mam prawo i powinność wszystko widzieć i słyszeć, co się w moim państwie dzieje. Nie powinieneś urażać się o to; nie straciłeś pan na mojej ciekawości. Z tej jednej chwili poznałem go³⁹ lepiej, niż gdybyśmy sto imiennin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo... – Nagle zatrzymał się i patrzył mi w oczy długo, okiem ani na chwilę nie zmrużonym,

³⁶ *ku niemu; (...)* jego odwiedzin – forma grzecznościowa; dziś: ku panu, pana odwiedzin itp. [przypis edytorski]

³⁷ *Wieża Sennaru* – wieża Babel, która podług Biblii (*Genesis* 10,11) zbudowana była w ziemi Sennaar nad Eufratem. [przypis redakcyjny]

³⁸ *z widocznym umysłem* – tu: rozmyślnie, wyraźnie celowo. [przypis edytorski]

³⁹ *poznałem go* – forma grzecznościowa: poznałem pana. [przypis edytorski]

byстрыm, przenikającym duszę w różnych kierunkach; zawołał potem: – Tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa; objaśnię go, o ile mi wolno.

Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów: – Ten zamek – rzekłem – Firlej podobno założył za panowania któregoś z Zygmuntów.

– Firlej! Zygmunt! – powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu. – Bajki! Ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaznych rozniosłoby je natychmiast – o! mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych – muszę być ostrożnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędzono by wszystkie pułki piekielne, aby ich ślady nawet zdeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? Muszę dyplomatyzować.

W tym miejscu muszę się przyznać czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiego za zwyczajnego obłąkańca i stosownie też przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się, nie przerywały głównego ciągu mojej myśli, nie psuły szyku zapytań, które podobny przedmiot nastroczał, na które przede wszystkim chciałem mieć odpowiedź; dlatego mówiłem dalej:

– Powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną?

Machnicki milczał.

– Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? Postawiono kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi, jeszcze przed laty kilka⁴⁰ były tu komnaty zupełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy?

Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniej zachmurzał, czasem wyrzekł: tak – lub: nie – porwał się potem z miejsca i zawołał:

– Po moim królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców. Są pewne formy, których nie wolno przełamać. Chodź pan ze mną – niebo coraz bardziej się zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody.

Przysliśmy tedy pod jedną wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznej wysokości.

– Masz pan mocną głowę? Umiesz drapać się po murach? Wejdzimy na tę wieżę.

Zmierzyłem, opatrzyłem ją i widziałem, że po jej szczerbach, jak po schodach, można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadzwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska wyżej niż wierzchołki drzew okolicznych, z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony.

– Co za widok! – zawołałem. – Sądzę, że promień przynajmniej kilka mil długości.

– Kilka mil! – powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy. – I to poeta tak się wyraża? Poeta tyle tylko widzi? **A ja, kiedy tu wejść, kiedy położyć oko na tych górach i trąć je myślą, wnet lecę chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o Morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dźwiną przechodzę do Bałtyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry, i ponad Odrą wpadam znowu na Karpaty;** a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu. – Rozumiesz mnie pan?

– Nie wiem, czy tyle, ile byś pan chciał być zrozumianym.

W tej chwili na twarzy Machnickiego objawiała się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak żeby⁴¹ słowa ogromnego znaczenia dały się do ust, a myśl tajemnicy gwałtem je zatrzymywała.

– Nie, nie! – zawołał w końcu. – Lepiej być niepojętym, jak narażonym na zdradę.

Wnet postrzegł się, że wybuchnął z czymś niewłaściwym, zwrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za rękę i pytał:

– Co ja powiedziałem? Może niedorzeczność. Przebacz pan! – Wszak wiesz, żem wariat – i ja to wiem. Ja sam często postrzegam, że mi się wymknie słowo, ni przyszył, ni przyłatał, jak powiadają. To wariacja, wariacja! Ale to nie wariacja, że potrzeba tak widzieć, jak ja widzę z tego

⁴⁰ *przed laty kilka* – kilka lat temu. [przypis edytorski]

⁴¹ *jak żeby* – jak gdyby. [przypis edytorski]

miejsca, aby je pojąć. Wtedy dopiero wiedziałbyś pan, jak przyjmować powszednie bajeczki, które mu naklektano⁴². Chodźmy stąd.

Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnickiego, mniemałem dostrzec w nim przeważający żywioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował nad nim⁴³ tym silniej i stał się dla jego duszy szkłem optycznym, pokazującym jej cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywisty; widziałem, że go razila moja prozaiczna szczerota⁴⁴, odtąd więc postanowiłem być z nim poetą. W tym zamyśleniu postępowałem w głąb zwalisk, kiedy Machnicki wstrzymał mię:

– Za pozwoleniem – rzekł – panu wolno tu błędzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja, przeszłości; nie widzisz tu, jak ja, jej śladów; ciężko bym przewinił, żebym⁴⁵ się ich nie trzymał; okropnie bym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojej kary? Spójrz na te miliony dokoła. Zresztą, jako król, mam także moje dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę.

Zwróciliśmy się więc nazad, w kierunku południa, i wyszliśmy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki podprowadził mnie ku niemu i rzekł:

– Przede wszystkim cześć grobom! Tu, pod tym kamieniem, leży ostatnie półtora wieku. Olbrzymie zwłoki! nieprawdaż? Kto nad nimi nie pomodli się, ten jak niegodny, niepoświęcony, wchodzi do tego zamku, do całej przeszłości. – Po czym zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak, żebym to samo zrobił; wpatrzył się w kamień, nieznacznie twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby⁴⁶ duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała; mimo to rzesne⁴⁷ łzy posypały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną, przemawiały te słowa:

– Każesz! Słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarnko, z ziarnka strzela drzewo – tak Karpaty lasami porośły: tak ty, grób, porośniesz nowym życiem. Płyńcie, łzy! Policzą was kiedyś, zapłacą!

Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia; powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał⁴⁸ na mnie, i obcierając ślady łez, zapytał:

– Płakałem? Nie dziw się pan – ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroksyzm wariacji, powiedzą sąsiedzi; nieprawdaż? O, gdyby każdy z nich miewał podobny przynajmniej raz z rana, a raz na wieczór, ten zamek stałby jeszcze cały, a przynajmniej już odbudowany. Widzisz pan dokoła te głazy? Wszystko to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje, leżą pod nimi. Ten na boku na przykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską... Ale za mało dziś czasu na obejrzenie całego cmentarza, burza nam przeszkodzi.

W samej rzeczy, im wyżej słońce się podnosiło, tem większy zaduch napełniał powietrze, chmury gęstniały i grzmot burzy co chwila groził.

– Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz! – rzekł Machnicki i szedł przodem.

Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła naprawdę w poetyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się zanadto może jaskrawo, była nią jednak, i przepłynęła do mojej fantazji, pozwólmy, że jak tchnienie zarazy. Owo przeobrażenie głazów prostych w podobne nagrobki zdało mi się być pomysłem tak pięknym,

⁴² naklektać – tu: naopowiadać, nagadać. [przypis edytorski]

⁴³ panował nad nim – w pierwodruku: **panował mu**. [przypis redakcyjny]

⁴⁴ szczerota – szczerłość. [przypis edytorski]

⁴⁵ żebym – tu: gdybym. [przypis edytorski]

⁴⁶ jak żeby – jak gdyby. [przypis edytorski]

⁴⁷ rzesny (daw.) – tu: obfity, rzesisty. [przypis edytorski]

⁴⁸ pojrzyć (daw.) – spojrzeć. [przypis edytorski]

otwierało takie pole fantazji, że mimowiestnie⁴⁹ wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami⁵⁰; ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie korytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwnymi szybami, cały gmach odetchnął przeszłym życiem, w każdej części zmartwychwstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmotu było to echo naszego stąpania po brzmiających posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza, są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy wierzą; są, którzy je pojmą: krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedy ujrzałem w jednym oknie rosnącą brzoźkę. Jej korzeń trzymał się wewnętrznego gzymsu, a wierzchołek na zewnątrz za okno wychodził; gałęzie wisiały tak posepnie, biała kora tak żywo przypominała biały strój kobiecy, że mimowolnie zawołałem:

– Jaka smutna! Jak gdyby wyglądała kochanka! Biedna!

– Kto taki? – zapytał mnie zdumiony Machnicki.

Postrzegłem się, odpowiedziałem więc, uśmiechając się:

– Nic! Nic! Przywidzenie! Nic więcej. – Naglił powtórny zapytaniem, wyznałem, że w brzozie wyobraziłem sobie dziewicę.

– Cyt! – rzekł z cicha. – Wyjdźmy stąd.

Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał:

– To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu, łaska grobu z panem. Czy wiesz, kogo widziałeś? – zapytał, uspokoiwszy się nieco. – To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszej chwili jej życia. Serce jej rozdarte najboleśniejszą raną. W jedną stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustała. Wygląda z trwogą przybycia Jagiełły, przyjmuje go jak męża i pana, ale łzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy, kto ją widział w tej chwili, choć raz w życiu; widział on triumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała, spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciej będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściej przedstawia mi się jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko było gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie wierz temu: i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała. Wiem to z ust własnych.

– Pan z nią rozmawiasz?

– Czy ja z nią rozmawiam! A po cóż byłbym królem tego zamku? Jeżeli w nim żyję, to dlatego, że i on żyje. Nic tu nie ma, co by nie żyło dla mnie, co by ze mną nie rozmawiało! O! jak mnie nieraz bawią, a najczęściej gniewają ci powszedni ludzie, którzy tu czasem, nie wiem po co, przychodzą. Dla nich te drzewa, kwiaty, murawa, nic więcej, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg otworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowałiby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpać po tej murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie, i przez całe życie nie napatrzyliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu dzieje i dzieje.

Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku, powietrze całkiem ściemniało, grzmoty i błyski coraz bliżej się objawiały i wiatr z niezwykłą się podniósł gwałtownością. Nie spodziewając się takiej i tak prędkiej nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia; począłem więc być niespokojny i zapytałem Machnickiego, czy nie wie⁵¹ gdzie bliskiej chaty, w której bym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy.

⁴⁹ *mimowiestny* (daw.) – nieświadomy. [przypis edytorski]

⁵⁰ *zamek, jaki był przed wiekami* – patrz objaśn. do tego ustępu we *Wstępie, III: Wpływ poezji mickiewiczowskiej*. [przypis redakcyjny]

⁵¹ *wiedzieć* (reg.) – tu: znać. [przypis edytorski]

– Bądź pan spokojny! – odpowiedział. – Jestem królem w moim państwie, wszystko już obmyślane. Nie każdemu bym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojej gościnności, pod jednym warunkiem:

– Pod jakim?

– Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu, w którym się schronimy.

Dałem słowo z chęcią.

– Chodź pan za mną.

IV. Podziemie

Związany słowem danym przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tym miejscu przerwę opowiadania, której może nigdy nie wypełnię. Wolno mi tylko powiedzieć, że nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymaliśmy się nad głazem znacznej wielkości. Machnicki zlecił mi obejrzeć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego, a kiedy to dopełniwszy, zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór pod ziemią.

– Spuszczaj się prędko! – zawołał.

Zrobiłem jak kazał, on skoczył za mną; w okamgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnej ciemności.

– Taka jest brama mojej stolicy – rzekł Machnicki. – Idź pan za mną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów.

Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopnie. Schody były wygodne, szyja podziemia tak wąska, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się; Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę stojącą w małej framudze, jakby umyślnie na to wykutej, i przemówił:

To pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim?

Powiodłem okiem dokoła i widziałem niekształtną jaskinię, obszerności tak nieznacznej, że jeden rzut oka z któregośkolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabym jak blask lampy. W utworzeniu jej nie widać było śladu sztuki; pod ścianami stały lub leżały ludzkie kości, na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych, mocno zardzewiałych.

– Zapewne to straż pałacowa? – rzekłem. Machnicki potwierdził mój domysł skinieniem głowy. Głównie jednak zwróciły moją uwagę drzwi dosyć wielkie, żelazem pokryte, leżące po lewej ręce naszego wchodu.

– A to musi być wejście do podziemnego przechodu, o którym powiadają, że się aż pod Krosno ciągnie?

– Może i dalej – odpowiedział Machnicki obojętnie.

Po krótkim zatrzymaniu się przystąpił do innych drzwi, podobnych pierwszym, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mnie o kilka stopni niżej do innej jaskini, obszerniejszej nierównie niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że to było jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków; jeszcze wisiały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach, wpuszczanych w kamień na ołów. Machnicki, nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedne z licznych drzwi pobocznych, wprowadził mnie do nowej kryjówki z tajemniczym milczeniem, zapuścił w jej głębie wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur.

Mimowolny dreszcz przebiegł ciało, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drzwi jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą⁵² jak czarna zasłona, a tłem jej przesuwwały się w ognistym malowidle sceny tyranii, jakich kiedykolwiek naczałem się lub nasłuchiwałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia, przerażona ich widokiem, utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało naraz we wszystkie zmysły: w powietrzu uczułem duszącą woń trupiej zgnilizny, każde uderzenie stopy o twardą posadzkę, odbite echem jaskini, zamieniło się w jęk przeciągły, ciemność i światło lampy, połamane wzajemną walką, wyglądały

⁵² *okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą* – podany tu obraz miejsca tortur i cmentarzyska więziennego powstał prawdopodobnie pod wpływem pokrewnego obrazu w *Nieboskiej Komedii* Krasińskiego (Orcio i Mąż w więzieniu podziemnym). [przypis redakcyjny]

spoza kolumn samorodnych i z załomów skalistej ściany postaciami ofiar mniej więcej wyraźnymi, bladymi; jak żyję, nie miałem podobnego widzenia.

Machnicki stał ciągle w izbie tortur; szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrawszy przed nami nowe drzwi, na pół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego. – O, nie! – odezwał się Machnicki głosem uroczystym – z tego miejsca nie było i nie ma wyjścia, chyba tamtędy.

Na tych słowach otworzył do reszty drzwi uchylone i wskazał za nimi stos kości w dole, a w górze wąski otwór, przez który wpadało cokolwiek dziowego światła:

– Jest to cmentarz więzienia!

– Wychodźmy stąd! – zawołałem z niecierpliwością. – Wychodźmy którądykolwiek, bylebyśmy wyszli – i drżąc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem w tył Machnickiego.

On, przeciwnie, miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwiał we mnie przenikające oczy i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywiązując do nich większą wagę.

– Tak, jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne. okropniejsze może, niż ci się wydaje, bo nie widzisz w nim nic więcej nad więzienie zamku, a ja... ja coś więcej tu widzę. Jestem jednak spokojny, przynajmniej taki jak zawsze, a ty drżysz, jesteś cały zmieniony. Dziwi mnie to. Cóż lepszego twój świat, w którym żyjesz? O, rozumni ludzie, jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun i nie uderzysz ich zmysłów jak piorunem. We wszystkim zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, która by swoją potęgą ogarnęła przestrzeń i miliony, skupiła je w mikroskopie jednej myśli, jednego uczucia. Daj mu za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy, jak w raju. Dopiero kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: oto twój świat, oto twoje życie – dopiero wtedy ocknie się, zadrży, jakby mu powiedziano coś nowego; i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku? Silnych zmysłów? A ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołęznej myśli, skrępowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych; nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz, i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.